

Hieronim Feicht

Uniwersytet Wrocławski, Wrocław

Uniwersytet Warszawski, Warszawa

Referat na zjazd organizacyjny księży muzyków (nieprzewidziany do druku)¹

Wśród niepowetowanych strat i szkód, jakie poniosła Polska w dziedzinie materialnej i kulturalnej, wcale wyjątkiem nie pozostała polska muzyka kościelna. Zginęło bezpowrotnie przez celowe spalenie ze strony barbarzyńców niemieckich wiele rękopisów muzycznych, a wśród nich najstarsze i najcenniejsze rękopisy Biblioteki Krasieńskich z wielogłosowymi kompozycjami Mikołaja Radomskiego (które o tyle tylko ocalały, o ile są w odpisach poszczególnych muzykologów). Zaginęły, a przynajmniej nie zostały dotąd odnalezione kompozycje Zieleńskiego, przechowywane ongiś w bibliotece wrocławskiej. Spłonęły lub zginęły w dużej mierze współczesne wydawnictwa tak dawnej, jak i nowszej muzyki kościelnej, dokonane czy to przez Polskie Towarzystwo Wydawnicze, czy przez inne wydawnictwa. Zniszczone zostały po kościołach organy, zwłaszcza na Ziemiach Odzyskanych, jak i na tych terenach w Polsce centralnej, przez

¹ Wprawdzie ks. Hieronim Feicht w podtytule referatu wyraźnie zaznaczył: „nie przewidziany do druku”, jednak mojej lekturze tego tekstu towarzyszyło swoiste „*crescendo* chęci” jego opublikowania: im więcej tekstu przeczytałem, tym bardziej chciałem go opublikować. Dlaczego? Najpierw ze względu na przypomnienie dzisiejszemu muzykowi kościelnemu (ale nie tylko) sytuacji tużpowojennej; potem dlatego, że tekst Feichta zawiera wiele informacji raczej niedostępnych gdzie indziej albo przynajmniej słabo rozpowszechnionych; następnie dlatego, że niektóre poglądy ks. Feichta mogą także dzisiaj inspirować do dyskusji; w końcu dlatego, że wiele z poruszonych problemów nurtuje muzyków kościelnych także dzisiaj. Tak więc artykuł jest niezmiernie aktualny, mimo 65 lat, które dzielą nas od jego powstania. Tekst ten warto porównać z powstałymi 10 lat później założeniami nowo tworzonego Instytutu Muzyki Kościelnej KUL, na którego czele stał ks. Hieronim Feicht. *Referat na zjazd organizacyjny księży muzyków* powstał 16 listopada 1946 r. we Wrocławiu na Oporowie. Ks. Hieronim Feicht na końcu tekstu zanotował godzinę 2 w nocy. Rękopis wystąpienia znajduje się w Archiwum Zgromadzenia Księży Misjonarzy na Stradomiu w Krakowie, w teście personalnej ks. Hieronima Feichta, PM 0748. Zachowano oryginalną postać referatu, uwspółcześniając jedynie interpunkcję.

które przeszedł front. Rozproszone zostały bodaj całkowicie amatorskie czy zawodowe chóry kościelne wszelkiego rodzaju: mieszane i męskie z chlubą Polski – chórem ks. dra Gieburowskiego na czele. Unicestwione przez zamknięcie dostępu nowych sił do seminariów diecezjalnych i zakonnych te tak nieliczne zespoły kleryków, które pielęgnowały chorał gregoriański. Zeszło z tego świata i kilku księży muzyków z nieodżałowanej pamięci ks. Wacławem Gieburowskim na czele. Wprowadzony został zamęt w kościelny śpiew ludowy przez masowe przesunięcia całej ludności kresów wschodnich na Zachód i zmieszanie lwowian z wilnianami, małopolan z mazurami, a wszystkich razem z autochtoniczną ludnością śląską. Na Ziemiach Odzyskanych nie ma bodaj jednej parafii, w której można by znaleźć większą część wiernych mogących zaśpiewać kilkanaście pieśni zgodnie według jednej wersji, czy nią będzie lwowska, czy wileńska czy diecezjalna z Polski centralnej. Słowem, w dziedzinie pieśni panuje na dużych obszarach chaos, w dziedzinie chorału milczenie, w dziedzinie polifonii próby o niedużym na razie poziomie, w dziedzinie wydawniczej – może w tej chwili nawet najruchliwszej – jednak jeszcze zastój, w dziedzinie naukowej bezradność, poszukiwanie, rachowanie tego, co ocalało. Ze stanu niezłego, w niejednej dziedzinie wcale dobrego, w jakim zastała nas wojna, pozostaje do odrobienia wszystko. Kto się tego podejmie?

Jest rzeczą naturalną, a na niektórych polach wprost pożądaną czy przynajmniej wskazaną, by podjęli się tego księża muzycy. Nie stronią wprawdzie od muzyki kościelnej muzycy świeccy; nawet przeciwnie: zainteresowanie się nią ze strony niektórych wysokiej miary muzyków świeckich jest znaczne i widać u nich wiele dobrej woli i pozytywnych wyników. Taki Witold Rudziński prowadzi w Państwowej Średniej szkole muzycznej w Łodzi z wielkim umiłowaniem i znacznymi już sukcesami chorał gregoriański metodą solesmeńską, nie tylko nie zrażając się wcale tym, że w samym środowisku, z którego on zaczerpnął tę naukę, taki Gastoné był przeciwnikiem tej metody, a u nas ma np. we mnie adwersarza, ale nawet znajdując w tym podniecie do tej pracy, za wzorem zresztą ogółu solesmeńczyków, będących fanatykami, których nie wzruszy żaden argument skierowany przeciw tej metodzie. Taki znowu Stanisław Wiechowicz roztacza czynną opiekę nad chórami wielogłosowymi, które zasila własnymi kompozycjami, a na terenie Polskiego Towarzystwa Wydawniczego zabiega o wydawanie wartościowych kompozycji kościelnych. Taki Ekier – wszak kompozytor dotąd wyłącznie świecki – zabrał się do pisania preludjów organowych i to praktycznych, niezbyt obszernych i trudnych. Podobnie komponuje (ale rzeczy już trudniejsze) Jurdziński, uczeń Karola Szymanowskiego, organista łódzki; Rączkowski i inni. A nawet kompozytorzy tej miary co Bacewiczówna i Palester nie są dla sprawy muzyki religijnej obojętni, choć chodzą już po

krawędziach muzyki kościelnej. Bacewiczówna komponuje utwory na skrzypce i organy, mogące mieć zastosowanie tylko na mszach św. cichych, tzw. dwunastówkach, a Palester pisze *Requiem*, ale już o charakterze pozakościelnym, estradowym. Jeśli zaś chodzi o wydawców, to Tadeusz Ochlewski, dyrektor czy kierownik Polskiego Towarzystwa Wydawniczego jak dotąd, tak i obecnie ma duże zrozumienie dla popierania nakładów muzyki religijnej, w tym czysto i ściśle kościelnej; sam zaś, jako skrzypek, jest inicjatorem (inspiratorem) owych kompozycji na skrzypce i organy, o których wspomniałem przy Bacewiczównie. Wreszcie organiści wirtuozi, koncertanci w kraju i za granicą, jak Rutkowski, Chwedczuk, Oćwieja wykonują wiele najpoważniejszej muzyki organowej w kościele, na koncercie i radiu. Zainteresowanie się więc i zrozumienie dla muzyki kościelnej jest wśród obecnego pokolenia kompozytorów, wykonawców i wydawców znaczne, w każdym razie większe, niż było w poprzednim pokoleniu muzyków świeckich. Niemniej jednak dużo pozostaje pracy dla czynnika mającego bezpośredni związek z liturgią i pełną znajomość liturgii, tj. dla księży muzyków. Nakreślony powyżej opłakany niemal stan obecny muzyki kościelnej wymaga pracy systematycznej [podkr. – Feicht] dla osiągnięcia celów bezpośrednio – już – prędko potrzebnych. Działalność muzyka świeckiego jako kompozytora lub wydawcy służy na ogół (a przynajmniej w naszych stosunkach) pośrednio tylko celowi stałego podnoszenia poziomu muzyki kościelnej. Muzyk świecki komponuje np. to, co mu odpowiada najlepiej w danym nastroju, a co akurat dla codziennej czy bieżącej praktyki nie jest potrzebne. W dodatku nie zawsze umie się pomieścić w ramach świętej liturgii. Weźmy przykład – mało co prawda stosowny, ale jednak ilustrujący to, co powiedziałem. Roman Palester skomponował ostatnio requiem naturalnie przeznaczone na estradę. Ale i requiem liturgiczne nie były w tej chwili najpilniej potrzebne, bo w literaturze polskiej istnieją dobre requiem czy to ks. Gieburowskiego na chór mieszany, czy Karczyńskiego (z Ameryki) na chór męski, nie mówiąc już o kilku innych krążących w rękopisach. W dodatku zwierza mi się Palester z następującej rzeczy:

– Proszę księdza, napisałem spokojne, nastrojowe, mistyczne „Lux aeterna” przed Agnus, które to Agnus swą potęgą lepiej kończy dzieło!

– Ależ taki układ jest stanowczo wykluczony, nawet na estradzie – odpowiadam.

A na to kompozytor:

– Bardzo mię ksiądz zasmucił tą wiadomością!

Kolejność systematycznej pracy nad dźwignięciem muzyki kościelnej – dzieło, którego najłatwiej dokonać mogą rozumiejący tę sprawę księża-muzycy – przedstawia się następująco:

I. Praca nad pieśnią ludową

W dziale tym wysuwa się kilka problemów:

1. Zagadnienie, czy forsować dla całej Polski jednolitość melodji z wykluczeniem z niej różnych wariantów lokalnych, czy też nie forsować, a pozostawić czy to poszczególnym diecezjom, czy całym okolicom kraju ich warianty. Zagadnienie to nienowe, ba – kilkakrotnie, na poważnych nawet zjazdach jak np. w Płocku u śp. ks. bpa Nowowiejskiego podejmowane. Dotychczasowym obradom nad tym tematem przyświecała myśl raczej jednolitości (przynajmniej dla pewnej grupy pieśni) z odrzuceniem wariantów lokalnych. A jednak? Przyzwyczajenie ludu okazuje się silniejsze od teoretycznych założeń. A przecież zagadnienie to jest w tej chwili palące np. dla Ziem Odzyskanych. Czy zastanowienie się nad tym problemem (nie mówię dziś, na organizacyjnym posiedzeniu, ale w jakiejś komisji, która nad tym popracuje) doprowadzi do postanowienia, które raz na zawsze położy kres ciągłemu podnoszeniu tej sprawy?

2. Zagadnienie podnoszone przez nauczycieli śpiewu, a sugerujące wprowadzenie poprawek w celu uzgodnienia akcentu słownego z muzycznym, frazy muzycznej z sensem zdania. Rzecz to dobrze znana, że nieznaczną zaledwie część pieśni jest pod tymi względami poprawna. Już chociażby sam religijny hymn narodowy *Boże, coś Polskę* (którego melodia jest zresztą wzięta z operetki Soliégo *Le Secret* z r. 1797) ma następujące akcenty: „ōtączął blaskiem pōtęgi i chwały”, czy *Przed Twe ołtarze zanosim błaganie*. Nic łatwiejszego, jak to poprawić przez wsunięcie do melodii pauz, odbitek i ściągnięcia nut, ale czy się to zda na co? – czy masę się do tego zastosują? – czy jest to więc praca celowa? Przecież podobne błędy zawiera Rota Nowowiejskiego: *Nie rzūcīm ziemi*, a choć rozpowszechniona, przecież nie jest ogółowi ludu wiejskiego tak znana, jak *Boże, coś Polskę*, a mimo to nie próbuje się jej poprawić przez szkołę i stowarzyszenia młodzieży, boby się to na nic nie zdało.

Gorzej przedstawiają się takie pieśni, w których wskutek rozbieżności między okresem muzycznym a budową tekstu zachodzą nonsensy. Typowym na to przykładem jest pieśń tak powszechnie przecież śpiewana, jak *Witaj Królowo, Matko litości* (odpowiednik do *Salve Regina*). Trzecia jej zwrotka brzmi:

O Pośredniczko, rzuć Twe wejrzenie
Łaskawe na nas, przyjmij westchnienie

Co z tym począć? Chyba również nic, bo w tzw. pieśniach zwrotkowych zawsze się zdarza, że o ile tekst pierwszej zwrotki zgadza się z melodią, o tyle któraś z dalszych zwrotek wykazuje pod tym względem pewne wady, ale to

jest bodaj cechą niemal wszystkich pieśni zwrotkowych. Nie należy więc, zdaje się, pieśni ludowej i pieśni przez lud przyjętej pod tym względem naruszać i poprawiać. A w każdym razie należy co do tego zająć raz jasne i zdecydowane stanowisko i omówić je w jakimś piśmie muzycznym. Bo raz po raz wyskakują z powyższymi projektami samorzutni reformatorzy, a wynik jest tylko ten, że prosząc w tej sprawie o konferencję, rabują nam swymi nudnymi, no na pamięć przez nas znanymi wywodami, drogi czas, a gorzej jeszcze, gdy zasypują nas w tej sprawie pisemnie, bo wtedy traci już człowiek cierpliwość na samą myśl, że trzeba dużo drogiego czasu poświęcić na listowną odpowiedź, a jej wynik nic pozytywnego nie przyniesie.

3. Zagadnienie pieśni nowopowstających. Znowu zagadnienie trudne. Bo od pieśni świeżo komponowanych należy się domagać bezwzględnej poprawności i artystycznej wartości tak co do tekstu, jak co do kompozycji muzycznej. A właśnie pieśni nowe, pieśni, które się gwałtownie przyjmują tylko dzięki ich treści zaktualizowanej, powstają najczęściej z głów dyletantów tak poetyckich, jak muzycznych. Typowym przykładem jest tak dziś rozpowszechniona pieśń: *Pójdź do Jezusa*. Już dwa pierwsze wiersze budzą niesmak ze względu na swój rym à la ks. Baka:

Pójdź do Jezusa, do niebios bram,
w Nim tylko szukaj pociechy tam (!)

Dalej wątpliwą wartość dogmatyczną ma zwrot:

On cię napoi krwią swoich ran,
On Ojciec, lekarz, Pan

Bo to „Ojciec” jest (przynajmniej moim zdaniem) bardzo niezgrabnym zwrotem, mogącym wśród małuczkich mieszać Syna Bożego z Bogiem Ojcem. Podobnie niezgrabne jest wyrażenie: „uczyn z nami cud”. Trzecia wreszcie zwrotka zawiera niezgodność wiersza z budową formy muzycznej... Kto jest autorem tego często chowskiego wiersza? I taka pieśń jedynie ze względu na jej zaktualizowaną treść i ponętną, ale wcale nie kościelną melodię zostaje rozchwytywana w lot i zaśmieca na długo skarbiec naszej ludowej pieśni kościelnej... Otóż od pieśni świeżo komponowanych należy bezwzględnie, wprost rygorystycznie wymagać poprawności tak co do tekstu, jak co do melodii, jak wreszcie co do zharmozowania obu czynników razem; jeżeli zawiera błędy, należy ja zdusić w zarodku.

4. Wreszcie ostatnie zagadnienie z dziedziny pieśni – to zbieranie i uchronienie od zaginięcia pieśni ludowych nigdzie jeszcze dotąd niezannotowanych. Kto się nie zajmował tą sprawą, ten nie ma wprost pojęcia, ile jeszcze istnieje pieśni ludo-

wych – i to skarbów, nigdzie niezanotowanych. Nie są to zwykle pieśni śpiewane na mszach św., bo nieśpiewane z winy organistów, którzy ich nie znają. Są to pieśni pogrzebowe śpiewane przez lud przy zwłokach w domu, przed nabożeństwem żałobnym, względnie między nabożeństwami czy gdzieniegdzie jeszcze na pogrzebie. Są to pieśni śpiewane w Triduum Sacrum przy Bożym Grobie (obok pieśni bezwartościowych). Są to pieśni między rozmaitymi godzinkami. Są to kolędy, względnie pastorałki śpiewane w domu lub przy szopce (nieraz ze skrzypcami), są wreszcie pieśni śpiewane przed sumą i nieszporami. A obok nich ile jest ciekawych melodii psalmowych, śpiewanych na ludowych, polskich nieszporach; zwracali mi na nie tuż przed wybuchem wojny dwaj muzykolodzy niemieccy z Lipska (jeden świecki, drugi duchowny) i dziwili się, że to nie zostało jeszcze spisane. Twierdzić więc z góry, że takich pieśni dotąd nieznanych na ogół u nas już nie ma, znaczy nie zdawać sobie z tej rzeczy zupełnie sprawy. Sam na sobie zrobiłem to doświadczenie. Przez 20 lat spędzałem rokrocznie niemal dwa miesiące wakacyj w pewnej miejscowości i twierdziłem, że tam nie ma już nic ciekawego, bo po prostu nic już ciekawego być nie może: parafia podmiejska, odłączona świeżo od miejskiej (wiec bez własnej tradycji), a okolica pod względem folklorystycznym dokładnie zbadała! Dopiero całoroczny (i to kilkoletni, wojenny) tam pobyt z koniecznością spełnienia funkcji organisty otworzył mi uszy. Wynikiem tego jest zbiorek czekający w redakcji „Rocznika Muzykologicznego” na opublikowanie, a z którego to zbioru muzyk tej miary co Kazimierz Sikorski wynotował sobie natychmiast jedną melodię (by ubiec kolegów muzyków), a Palester nie mógł wyjść z podziwu nad oryginalnością tych pieśni lub nad nadzwyczaj ciekawymi wariantami lokalnymi pieśni powszechnie znanych. Pieśni te trzeba więc podsłuchać, przyswoić je sobie dokładnie i potem spisać. Jest to zadanie oczywiście organistów, ale należy ich pod tym względem przypilnować².

² Ks. Hieronim Feicht zapewne pisze tu o muzyce na Olczy koło Zakopanego. Od wielu lat słyszę o istnieniu tzw. „nuty olczańskiej”. Gdy ks. Hieronim Feicht podczas II wojny światowej mieszkał na Olczy w Zakopanem, zainteresował się tym zjawiskiem i napisał artykuł w „Ruchu Muzycznym” (nr 7–8, 1947 r.). Jednak moim zdaniem to, o czym napisał, to kropla z morza olczańskiej muzyki. Olcza jest bardzo szczególnym (a także największym) dzisiaj osiedlem Zakopanego (kiedyś była wsią. Współtworzyła historię Zakopanego, ale jednocześnie olczanie zaciekle bronili własnej tożsamości i odrębności od Zakopanego i innych wsi (Kościelisko, Ząb, Poronin). Koło kościoła na Olczy mieszka pewien olczanin (nazwisko znane autorowi), którego wszyscy górale wskazują jako największy autorytet w zakresie muzyki olczańskiej. Udało mi się z nim spotkać. To miejscowy, rodowity góral, kochający muzykę, grający na instrumentach, skromny, ale i dumny – jak każdy góral. Z wielką chęcią i radością grał mi różne miejscowe utwory, ale także różne inne nuty, grane na Podhalu, lecz z odmianą olczańską. Pan Piotr zna większość z melodii Podhala, wie, jak grał Bartuś Obrochta (ma nagrania skopiowa-

Drugim działem, domagającym się z kolei bezzwłocznej opieki, jest:

II. Systematyczna praca nad muzyką organową

Wyłania się i tu kilka odrębnych zagadnień, które jeżeli w ogóle, to najłatwiej mogą rozwiązać, a przynajmniej rozruszać księża muzycy działający razem, więc zorganizowani, stowarzyszeni.

1. Zagadnieniem pierwszym będzie paląca potrzeba praktycznej, przystępnej polskiej literatury organowej. Zgadamy się z tym chyba wszyscy, że na całym terenie Polski byliśmy i jesteśmy jeszcze zmuszeni posługiwać się Rinckami, Volkmarami, Schneiderami, Schildknechtami, Gollerami i całymi dziesiątkami innych Müllerów czy Knechtów. W czasie okupacji i wrzasku o jedynej kulturze, jaka istnieje na Wschodzie, ta kultura niemiecka, poczucie naszej całkowitej zależności muzycznej od Niemców stało się chyba wprost nieznośne. A jednak polskich praktycznych a wartościowych preludiów, interludiów, postludiów i opracowań pieśni (Choralvorspiele) niemal że nie mamy. Bo co jest? Żeleński, księża Józef i Mieczysław Surzyńscy (ale ostatni już tylko może służyć w wyborze), wreszcie Nowowiejski. Zdolny bezsprzecznie Sieja publikował dosyć wiele, ale bez krytycznego wyboru, podobnie jak jego nauczyciel Mieczysław Surzyński. Znacznie słabsze rzeczy dali już Stefan Surzyński i ks. Walczyński. Więc: posiadając skromną wprawdzie, ale wysokiej wartości twórczość mszalną i motetową (Zieleński, Pękiel, Gorczycki), nie posiadamy z przeszłości wcale muzyki organowej, z nowszych czasów bardzo niewiele. A tyle jej potrzeba! Oczywiście nie fug szeroko rozbudowanych, ani fantazyj, allegrow, sonatowych, jeno wersetów, *fughett*, preludiów w małej formie dwu

ne z wałków woskowych z 1914 r.), zna manery niemal wszystkich autorytetów góralszczyzny (Stachoniów, Trebunich Tutków itd.). Ma bogate zarówno materiały nutowe, jak i nagrania. Uczył się u swoich dziadków i u okolicznych grajków. Wszystko ma w głowie, ale nie usystematyzowane. Mówi, że zna nuty, bo uczył się grać na akordeonie w szkole muzycznej I stopnia, ale nie potrafi zapisać nut, uchwycić tych wszystkich niuansów. Wie jak grają prymiści, ale zna także głosy i manery zespołów (sekundzystów, basów). Demonstrował mi chętnie bardzo dużo rzeczy, z największą przyjemnością jednak słuchałem utworów granych na „nutę olczańską”. Pan Piotr ma różne teorie, niepozbawione pewnej racji, na co wskazuje pobieżna choć historia Olczy i Zakopanego. Twierdzi, iż wiele rzeczy w muzyce góralskiej pochodzi właśnie z Olczy. Byłoby ogromnym zaniedbaniem pozwolić odejść tej skarbnicy w zapomnienie. Pan Piotr mówił, że młodzi górale – Olczanie nie chcą się uczyć nuty olczańskiej, bo jest ona (na moje ucho) bardzo ametryczna, nieregularna – jak sami olczanie mówią – jest to „płacliwo nuto”. Młodzi wolą grać zakopiańską, równiutką „rąbanke”, co to się turystom podoba – „miarowe łup cup cup”. Tymczasem granie pana Piotra było dla mnie tym rzeczywistym wołaniem prawdziwej góralszczyzny, bliskim mojemu poczuciu muzyki, tempa, metryki, rytmu, harmonii...

i trzyczęściowej, drobnych triów i organowych opracowań pieśni, względnie pieśni z wariacjami. Kto nam stworzy tę polską literaturę, byśmy się raz wreszcie mogli uniezależnić, i to całkowicie od Niemców³? Mogliby to zrobić nasi wybitni kompozytorzy świeccy, ale nie chcą. Jedni, jak Palester, uważają, że trzeba by się wyrzec dla tego celu nowoczesnych środków harmoniczných, drudzy nie mają po prostu czasu na kompozycję we własnym, świeckim kierunku, zajęci bardzo poważnymi, a równie pilnymi pracami nad nowoczesnymi podręcznikami dla nauki Harmonii i Kontrapunktu (Kazimierz Sikorski); a wszyscy nie bardzo się orientują, o co chodzi. Pozostają tylko kompozytorzy, którzy sami są organistami lub znają dobrze organy, a tych jest niewiele i – nie ubliża im to wcale – nie należą do najwybitniejszych (Jurdziński). A jednak sprawa stworzenia polskiej praktycznej literatury organowej jest sprawą piękną, najpilniejszą. Zdaje mi się, że dla osiągnięcia tego celu można by użyć następujących środków:

a) pozyskiwać przez osobistą znajomość wybitnych kompozytorów dla tej naszej myśli i nakłaniać ich do komponowania na organy. Dał się np. nakłonić Ekier, choć nie wiem, czy już dotrzymał obietnicy. Czy nie dałby się nakłonić również Woytowicz, który brał swego czasu chętny udział jako akompaniator organowy przy wiejskim chórze;

b) jeżeli znajdują się na to środki, to rozpisywać konkursy na preludia organowe ze ściśle oznaczonymi żądaniami i dobrać do rozstrzygnięcia konkursów sumienne, wymagające jury;

c) jeżeli sami komponujemy, to przed wydaniem własnych rzeczy, poddać je fachowej ocenie i zabiegać o poważne firmy wydawnicze (Gebethner..., Polskie Tow. Wyd.), tj. o takie księgarnie, które same szanując się, przez przyjęcie naszych kompozycji dadzą im niejako firmę, że wychodzi rzecz wartościowa. Bądźmy bowiem wobec siebie wymagający i szczerzy: nie cieszymy się wcale autorytetem wśród kompozytorów świeckich, bo nie było dotąd wśród nas bardzo wybitnego talentu.

Uzyskanie polskiej literatury organowej jest jednak pracą, której wyniki będą widoczne dopiero po dłuższym czasie i to pod warunkiem, że na tę działalność położymy, jako stowarzyszenie księży muzyków, pierwszy i główny nacisk. A praktycznej literatury organowej potrzebujemy natychmiast. By zaraz wyeliminować niemiecką, można by chwilowo więcej propagować słowiańską, więc czeską (Krejčí, nauczyciel Żeleńskiego) i nawiązać np. kontakt z Czechami, Słowakami, Chorwatami: może oni coś mają, o czym my nie wiemy. Dalej propagować literaturę francuską i belgijską tych kompozytorów, którzy za temat brali chorał gregoriański, a w ogóle rozejrzeć się w świecie poza Niemcami, by ich bezsprzeczny dotąd, a od

³ Pisownia zgodna z oryginałem.

czasu ruchu cecylińskiego dominujący u nas wpływ przeciąć od razu i dalszą drogę do Polski raz na zawsze im zamknąć. Prawdziwa sztuka jest uniwersalna, więc ich Bacha nikt się z nas nie wyrzeknie, ale samoobrona przed nachalną bezczelnością niemiecką jest naszym obowiązkiem patriotycznym, więc zalew Führerami, Schneiderami i Knechtami skończyć się musi raz na zawsze.

W braku obecnym preludium organowych można by zestawzić jeden obszerniejszych rozmiarów zbiór najlepszych polskich preludium z XIX i XX wieku (Zientarski, Roguski etc.), ale to napotkałoby zapewne na znaczne trudności ze względu na prawa wydawnicze, jakie posiadają Gebethner i Wolff i inni nakładcy.

2. Drugim zagadnieniem jest zagadnienie organistów i posad organistowskich. Jest to sprawa wlokąca się od dziesiątków lat, a nie ruszyła z miejsca. Rozmaite zajmowano w niej stanowisko, ale jedno stale się powtarzało: obsadzać posady fachowcami, lecz zajmującym już posady pozwolić na nich wymrzeć. Takie stanowisko nie poprawiło w najmniejszym stopniu poziomu muzyki organowej. Miałem ostatnio, bo od 4 do 8 listopada, we Wrocławiu kurs dokształcający dla organistów. Prócz jednego, starszego już, bo ucznia jeszcze m. Surzyńskiego, zjawili się sami młodzi ludzie i bodaj sami dyletanci: uczyli się u organisty ojca; z teorii – nic nie wiedzą; o porządnym wykonaniu chóralu jakąkolwiek metodą – tym mniej; biegłości ich technicznej nie sprawdzałem, ale już samo ich rzucenie ręki na klawiaturę i granie raz ośmiu, potem pięcioma i czterema głosami dowiodło, że o czystości gry organowej nie ma mowy. I ci ludzie będą zajmowali posady znowu przez 30–40 lat, a ruchliwi organizatorzy życia diecezjalnego będą się stale zwracali czy to do mnie, czy do kogoś z księży kolegów o urządzenie takich bezcelowych kursów dokształcających. Odmówisz – to spotkasz się z zarzutem: „szanuje się” (czytaj: pyszny, zarozumiały). Brałem udział w takich kursach w Tarnowie, w Katowicach, a spotykałem się ze słusznymi wyrzutami ze strony kolegów z konserwatorium: „popierasz dyletantyzm”. Wziąłem udział i obecnie w takim kursie we Wrocławiu. Lecz po tym ostatnim, korzystając właśnie z zapowiedzi mającego się zebrać zjazdu organizacyjnego księży muzyków, postanowiłem przed księżmi kolegami postawić tę sprawę jasno: Będę chyba odtąd odmawiał swojego udziału w takich kursach, ze względu na ich bezcelowość i dyletantyzm. Bo sprawę podniesienia muzyki organowej można przeprowadzić tylko przez fachowych organistów z wyrzuceniem z posad organistowskich wszystkich dyletantów. Niech ci młodzi, trzydziestoletni ludzie zajmą się gospodarką, rzemiosłem, handlem, wreszcie szabrem, ale niech przez 30 czy 40 lat nie w y m i e r a j ą (!) na posadzie organistowskiej, i to tam, gdzie Niemcy⁴ posiadali

⁴ Pisownia zgodna z oryginałem.

doskonałych organistów, bo jeżeli już zgodzimy się na wymieranie, to niech się to odnosi do pseudo-organistów od lat 60 wwyż!

W związku z oczyszczeniem posad organistowskich ze służby parafialnej (bo tym, a nie organistami są wszyscy dyletanci) pozostaje zagadnienie fachowego organisty. Problem stworzenia fachowców został ostatnio przy państwowej reformie szkolnictwa muzycznego postawiony bardzo wysoko. Z zawodowych szkół muzycznych, państwowych czy prywatnych, wyjdzie istotnie muzyk umiejący i grać Bacha, i akompaniować poprawnie do chóralu według obranej metody, i improwizować na tematy liturgiczne (np. na temat *Sed libera nos a malo*). Zrozumie on również dokładnie treść *ordinarium missae* i szeregu innych tekstów, bo uczyć się będzie łaciny właśnie na tekstach mszalnych; podręcznik do tej nauki przygotowuje według narzuconego przeze mnie programu i tekstów mszalnych przeze mnie dobranych mgr fil. Leokadia Małunowicz, asystent filologii w Toruniu. Pozna dalej uczeń liturgikę w rozmiarach i partiach potrzebnych właśnie organistom (według mego podręcznika, zaaprobowanego przez kurię metropolitalną krakowską). Pozna dokładnie swój instrument i będzie umiał naprawić w nim drobne uszkodzenia, bo opanuje akustykę wraz z organoznawstwem. Poprowadzi oczywiście wszelkiego rodzaju chóry, wreszcie zinstrumentuje poprawnie akompaniament np. do hymnów na procesję Bożego Ciała. Toteż potrzeba dużej ostrożności, jeżeli w programie prac Związku Księżych Muzyków umieszczamy prowadzenie własnej szkoły organistowskiej. Na jedno zgodzimy się bez zastrzeżeń: absolwent szkoły muzycznej według powyższego programu nie obejmie z pewnością posady wiejskiej, chyba że ta da mu całkowite przyzwoite utrzymanie. Ale chyba i naszym zamiarem jest przy tworzeniu organistów wiejskich, którzy różnić się mogą jedynie mniejszą techniką od absolwentów konserwatoriów, zapewnić im posady, z których będą mogli wyżyć wraz z rodziną. Bo na co szkoła, jeżeli jej absolwent nie ma zapewnionej przed sobą przyszłości? Toteż w związku z potrzebą czy zbytnością szkoły prowadzonej przez nasze Stowarzyszenie wiąże się ściśle sprawa posad. Jeżeli nie będziemy mieli wpływu na to, by absolwent naszej szkoły, jako organista i może jako prowadzący kancelarię parafialną, mógł z obu tych prac razem wyżyć na parafiach wiejskich i małomiasteczkowych, to zrezygnujemy raczej ze szkoły. Bo sprawa utrzymania się organisty na wsi i w miasteczku jest tak dawna, a nawet dawniejsza, niż wskrzeszone Państwo Polskie. Należy ona jednak do ordynariatów i probostw, a wyznajmy szczerze, że dla niej przez 30 lat nic nie zrobiono. Jeżeli i nasze Stowarzyszenie nie zdołałoby nic w tym kierunku przeprowadzić, to raczej jednak nie podejmujemy w ogóle tego zagadnienia, bo ze strony rzesz organistowskich na pewno z tym punktem naszego programu będą związane wszystkie ich nadzieje i od niego będzie nasza praca oceniana.

III. Chorał gregoriański

Trzeci kolejno dział domagający się z naszej strony opieki to chorał gregoriański. Sprawa to dziś mniej trudna – jako zagadnienie – niż nią była przed wojną. Wypowiedzieliśmy się wówczas chyba już wyczerpująco: cały szereg spraw chorałowych został wszechstronnie roztrząśniony, omówiony, odważony. Zasada pozostała niewzruszona: chorał jest istotnym i zarazem całkowicie wystarczającym śpiewem Kościoła św., przy tym wysoce artystyczną sztuką samą w sobie. Gdzie ma istnieć liturgia rzymsko-katolicka, tam on być musi – i odwrotnie, gdzie on jest, tam jest ta liturgia w pełnej i nieskażonej swej postaci. Te zasady mają trwałą wartość ponad wszelką przestrzeń i czasem. Chodzi o praktyczne ich przeprowadzenie: jak i ile w tej chwili.

Przeszła burza nad światem i wstrząsnęła czymś więcej niż tą przepiękną różą, jaką jest chorał w Kościele. Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy. Przedwojenne nasze spory: czy tylko, wyłącznie i wszędzie chorał, czy też obok niego wiele koncesji dla pieśni ludowej, czy wreszcie przewaga pieśni nad chorałem – musiały chwilowo zamilknąć. Sam Kościół św. w tak przełomowej chwili dla św. Wiary nie zawahał się z zezwoleniem na pieśń w języku ludowym w czasie mszy św. śpiewanej. Mimo to pozostanie oczywiście chorał... i jest wiele u nas dla niego do zrobienia. Przede wszystkim sami inteligentni wierni domagają się artystycznego chorału od księży. Zaszły np. takie wypadki, że muzyk mający pogrzeb swej matki wyszukał sobie poza parafią księdza śpiewającego poprawnie chorał i jego poprosił, za zgodą proboszcza, o odprawienie nabożeństwa żałobnego, na to, by *Libera me Domine* zostało odśpiewane uczciwie... Otóż od czasu naszych sporów o rozmiary chorału w kościołach polskich nie widać żadnego postępu w śpiewie samychże księży. Znowu fałszywa zasada: „pozwołmy wymrzeć starym” zawiodła, bo młodzi musieli na ogół pójść w ślady starych, skoro razem z nimi musieli na ich nutę śpiewać jutrznię żałobną i kondukt, nabożeństwa wielkotygodniowe, *Te Deum*, *Veni Creator* itd. Reformy chorału musimy zacząć od księży, a nie od ludu. Gdy od ołtarza zabrzmi porządny chorał, np. *Ecce lignum crucis*, to chór z konieczności będzie się musiał przygotować i przygotuje do porządnego odśpiewania drugiej tegoż części. Gdy organista będzie słyszał wszystkie intonacje i aklamację mszalne wychodzące z ust księdza poprawnie, to sam nie poważy się na nie odpowiadać dyletancko, a gdzie będzie miał chór parafialny do dyspozycji, przypilnuje również ten chór. Od góry więc, a nie od dołu, jak dotąd często sądziliśmy, wiedzie droga tak do poprawnego chorału, jak i do jego ilości w naszych kościołach. Gdyby ktoś uznał, że niemożliwe jest poprawić księży, to niech mi daruje – nie ma prawa domagać się chorału od ludu. W sprawie więc chorału zajmuję osobiście nadal takie stanowisko, jakie zajmowałem dotąd:

a) przeprowadzić bezwzględnie nabożeństwa z wyłącznym śpiewem chorałowym (nie zakazując oczywiście w uroczystości polifonii) po seminariach duchow-

nych diecezjalnych, a tym bardziej zakonnych i stworzyć kilka wzorowych ośrodków w Polsce, nie narzucając jednak nikomu metody wykonawczej; według przekonania niech wybierają kierownicy chórów czy to metodę Petra Wagnera, czy ks. Davida (następcy Dom Pothiera), czy kompromisową beurońską, czy wreszcie – gdy się ta podoba – solesmeńską;

b) wpływać na dobre chóry parafialne, by do swych produkcji polifonicznych przyjęły na stałe chorał zrazu recytowany, potem i śpiewany *introitu*, *graduale* etc. (i nigdy nie opuściły sekwencji), by więc wykonywały pełny śpiew mszalny, a z czasem dojdą do wykonywania samego chorału (już bez polifonii) w niedziele i święta roczne;

c) dać spokój ludowi z chorałem, a zadowolić się jako maximum tym, gdy tu i ówdzie uda się i na małych wiejskich i miejskich parafiach utworzyć z młodzieży zespół choralny.

IV. Polifonia, wielogłosowość harmoniczna

Dalszy dział: polifonia, względnie wielogłosowość harmoniczna, nie wymaga na razie większej opieki ze strony Stowarzyszenia. Komponować rzeczy nowych nie potrzeba, bo wystarczą i polska, i staroklasyczna literatura. Przeczyścić jedynie repertuar od wyłącznego panoszenia się w nim kompozytorów niemieckich, ale również nie forsować za wszelką cenę literatury polskiej dlatego tylko, że polska. Daleko większa będzie i wartość artystyczna, i chwała Boża, gdy mając do wyboru tzw. „praktyczną” współczesną mszę polskiego autora i mszę Palestriny *Aeterna Christi munera*, wybierzemy tę ostatnią. Bo ona jest w swoim rodzaju doskonałością, którą zawsze z chlubą dla naszego stanu wykonawczego muzyki kościelnej możemy puścić również przez radio.

V. Czasopismo muzyczno-kościelne

Zamiar wskrzeszenia czasopisma muzyczno-kościelnego jest całkowicie na czasie, jest nawet sprawą piekącą. Ale i pod tym względem czerpmy doświadczenie, jakie zebrali nasi koledzy – muzycy świeccy: Polskie Towarzystwo Wydawnicze nie przystąpi do wydania kwartalnika muzycznego prędzej, aż redaktor nie wykaże się, że ma w biurku materiał na 4 numery. Nie pospieszmy się i my z miesięcznikiem prędzej, dopóki nie będziemy mieli w ręku materiału na pół roku naprzód. Bo łatwo wydać numer pierwszy wspaniały, ale trudno potem utrzymać poziom. A upadek poziomu to zarazem upadek pisma, gdy przestaje być interesujące.

Opracował i przypisami opatrzył Wojciech Kałamarz CM